

ŚMIESZEK

DODATEK HUMORYSTYCZNY

Wychodzi kiedy chce i kiedy mu się podoba.

Dla czytelników naszych darmo a dla innych podwójna cena.

Nr. 12

Dnia 31 lipca

1930

Hania Kopytkowa.

(Humoreska).

- No i słyszeliście o Patkowskiej?
- A no przecie!
- Jakże? Tak nagle?
- Gdzie tam nagle! Dwa tygodnie leżała.
- Mościewy! no! Jeszcze wczoraj był u niej ksiądz z panem Bogiem, a dziś masz!
- Takie to i życie ludzkie!
- Ba! cóżecie chcieli? Kobieta miała osiemdziesiąt z okładem.
- To i co? Żyją po sto.
- Albo to osierociła kogo? Zostawiła dzieci czy wnuki? Baba, panie, na pieniądzech leżała, kamienica dwupiętrowa nosła ładny grosz, a wiadomo, że stara Patkowska kawą i rosółem żyła od jakich już dwunastu lat.
- Podobno... Ale to wedle zdrowia; bo przecie skąpa nie była. Trzymała kilkoro służby, Bóg wie po co, a karmiła ich jak wieprzaki na zakłucie.
- A no i prawda!
- Mościewy! choćby ten stróż Aleksander, co to za pan! zegarek psianoga na takim łańcuchu srebrnym nosi, że psa by uwiązał!
- Co to psa! Krowe!
- A jak się to nazywa: Aleksander! Nie jak jaki porządny drugi stróż Jan, Michał czy Józef, tylko Aleksander!
- Albo i ta pokojówka Anielka! stroi się to jak hrabska marmuzela! w kapeluszu z kogucim piórem chodzi.
- Joj! nawet ta Hania Kopytkowa... niby kucharka, a zawałiła panie czepiec z zielonemi wstążkami, niczem rzeźniczka z krakowskiego.
- Ciekawość, komu też stara zapisała majątek? Krewnych nie miała żadnych.
- Jakichby tam krewnych. — Przyjechała temu czterdzieści lat z nieboszczykiem gdzieś aż z Ameryki.
- No! chyba z nieboszczykiem nie jechała.
- Ta wtedy żył jeszcze, oczywiście. Kupił odrazu tę kamienicę...
- Pewno, gdzie na kościół zapisała.
- Może być, że na jakich Bernardynów.
- Tak czy siak, my tam nie dostaniemy nic...
- Pewno, że nie!
- A obiad gotować trzeba... Bądźcie mi zdrowi, kumy... Chodźcie Maciejowa.
- Idźcie z Bogiem.
- Adyje.

Takie i tym podobne rozmowy można było tego dnia słyszeć na różnych punktach przedmieścia. Kumo-

szki prześcigały się w plotkach, tonęły w domysłach — jednakże, choć wiele krążyło bajek prościutko z palca wyssanych — była w nich według przysłówia i część prawdy.

Zmarła pani Patkowska była istotnie dziwną osobą; z sąsiadkami nie żyła, nie kumotrzyła się z nikim, a dwóm lokatorom, co ją na chrestną matkę do synów prosili, kupiła po srebrnym zegarku dla dziecka — ale niedyspozycja od onego wymówiła się powinowactwa.

Służby miała osób sześcioro: wspomnianego stróża Aleksandra z żoną, pokojówkę Anielkę, ogrodnika Walentego również z Walentową i wreszcie ową kucharkę Hanię z przydomkiem Kopytkowej, czterdziestoletnią już panną ze wsi, która od młodości po służbach się terając, doskonale potrafiła gotować.

U pani Patkowskiej służyła najdłużej ze wszystkich, bo lat dwanaście, a przydomek Kopytkowej przyrósł do niej z tej racji, że mała a grube, do chińskich kobiecych podobne stopy ubierała zawsze w buciki o wysokich obcasach, którymi chodząc stuknęła o podłogę jak koza kopytkami.

Swoją drogą — szczęśliwa to była istota, że tak się długo u pani Patkowskiej utrzymała, bo pominąwszy doskonałe zalety jako kucharki, była poza tem rubaszną i widocznie do swojej chlebobawczyni nie przywiązana. Nie całowała swej pani, jako reszta służby, dwadzieścia razy dziennie w ręce, nie łąsiła się, nie pochlebiała, mimo, iż pani wyraźnie powiadała kilkakrotnie, że o służbie nie zapomni w testamencie.

Bywało, gdy pani w swoim krześle na kółkach chciała siedzieć przy otwartym oknie — co lekarz ze względu na jesienną porę nie radził — Hania zburczała staruszkę, zaniknęła okno, a krzesło odsunęła od stołu na środek pokoju.

Pani Patkowska bardzo lubiła kapustę kiszoną... ba! Hania nie pozwoliła.

— Niema kapusty! — zbyła krótko prośbę pani — niema!... Potem przyjdą kolki, boleści, kurcze... niema kapusty!... Rosół z kury jest o!

Pani Patkowska na razie zgniewała się trochę; ale już, gdy jej schlebniła Anielka podsuwała ukradkiem kapustę na talerzu — nie jadła!...

— Wiecie — mówiła — Hania ma rację... Nie trzeba być łakomym!

I tak dalej — w różnych momentach jaskrawie występowała brutalność Hani — ale miała baba szczęście i pani ją trzymała.

Z miasta bywał w domu tylko jeden pan notariusz, dawny podobno kolega szkolny nieboszczyka pana Patkowskiego — ale i rzadko... ot tam raz, dwa na miesiąc. Posiedział, pogadał godzinkę i tyle. Wiadomo było tylko, że jakoś na rok przed śmiercią pani, robił a

nią testament. Jaki?.. Bóg ich tam wiedział! Pewnie, że jemu zapisała kamienicę, choć bogaty był jak Krzesus i stary kawaler... Ba! Djabeł wszystko na jedną kupę znosi.

Po śmierci też jejmości opieczętował wszystkie pokoje, szafy i komody. A trzeba wiedzieć, że nieboszczka na jakich parę miesięcy przed śmiercią zwołała w jego obecności służbę całą do swej sypialni i tak przemówiła:

— Abyście wiedzieli moi kochani, że nie lubię łąz, a tembardziej nieszczerych. Zapowiadam wam tedy, że każde z was, które po mojej śmierci i na moim pogrzebie będzie płakać, nie dostanie nic. Przeciwnie, każdy kto nie uroni łzy, otrzyma pięćset rubli wypłaconych przez pana notariusza!

Dziwactwo to było ze strony staruszki... ale trudno!...

Każdemu potrzeba pieniędzy, a pięćset rubli piechotę nie chodzi. Nikt też ze służby po śmierci pani ani się nie skrzywił... ba! po cichu promieniali szczęściem bliskiego spadku. Jedna Hania tylko chodziła jak żaba odęta; czerwone miała oczy. Musiała gdzieś po kątach popłakiwać, bo naprawdę kochała nieboszczkę bardzo. Dopiero na pogrzebie, gdy ksiądz śpiewanie ukończył, nad grobem ojciec nasz mówić kazał, — nie wytrzymała biedna kucharka. W ogólnej ciszy, jak nie ryknie nie-ludzkim płaczem, aż się echo odbiło na cmentarzu!... Aż się rozśmiała reszta służby... i Aleksandrowie i Anielka, nawet pan notariusz, mrugnął figlarnie wasami!... Bo też to głupie dziewczynisko!...

Po ceremonii zwołał notariusz wszystkich do mieszkania, rozwinął testament i czytał:

„Zakazałam służbie płakać na moim pogrzebie. Proszę tedy pana notariusza każdemu co tego zakazu usłucha, wypłacić pięćset rubli z gotówki. Ci zaś, którym by serce dobre i przywiązanie nie pozwoliło od łąz się wstrzymać, niechaj podzielią między siebie kamienicę i resztę mego majątku. Tak chcę, rozporządzam i tak być ma w imię Boskie — Amen!“

— Oto — rzekł notariusz do przerażonych — każdemu z was pięćset rubli... Hania została spadkobierczynią całego majątku po pani Patkowskiej. Winszuję ci dobra dziewczyno, której żal za dobrą nieboszczką większy był, niż chciwość pieniędzy!...

Jak się tej reszcie zrobiło — nie wiem! Hania ryczała z płaczu.

O pewnym szlachcicu podlaskim, który wioził jajka na sprzedaż do Warszawy.

A to było tak. Pewnego razu jeden szlachcic z pod Węgrowa, którego się nazywał Kiszka, powióził na sprzedanie do Warszawy całą kopę jaj.

Było to latem: dzień zrobił się upalny i już od samego świtania zbierało się na burzę; wiatr się zrywał, kurzawa tańczyła po drogach i grzmoty raz po raz przewalały się od wschodu do zachodu, a niebo chmurzyło się coraz bardziej.

Zmachał się srodze szlachcic i zaczął wóz podpie- rać z całych sił, bo piachy były głębokie, żegnać się, a konia tego batem przynaglać, żeby tylko zdążył przed nawałnicą pod dach jaki. A miał jeszcze przed sobą spory kawał drogi i wysoki zwarty bór.

Poganiał też zajądło konia, prał i do szprych się przypinał, aż mu trzeszczały gnaty; ale skoro tylko wjechał między drzewa, burza wybuchnęła na dobre, pociemniało nagle, zahurkotały grzmoty, pioruny zaczęły bić i wichura chwyciła się za bary z lasem.

Struchlał szlachcic, żeby mu jaj nie potłukło — i dalej, kiedy trwoga, to do Boga! Zmówił gorąco pa- cierz; zmówił dziesięcioro przykazań; dał na przy- kładkę i litanie, ale burza srożyła się coraz gwałtowniej. Świata już nie było widać, wichur walił, aż się cały bór pokładał, pioruny wypadały jeden po drugim, aż się na- tęższe choiny łamały i trzaskały, niby suche patyki, za- błyskawice były takie, aż się całe niebo rozdzierało. Włosy mu powstały na głowie i padł na kolana prze- Jezusem, rozpiętym na sośnie i modlił się w głos, a obiecywał:

— Już dam na wotywę i kupię duże świece z bli- chowanego wosku, tylko się zlituj. Panie, nade mną! — skamlał płaczliwie.

— Taniś kupiec! — zawierciło mu naraz w uszach. Ciarki go przeszły i rymnął plackiem jak długi.

— To już dam cztery świece i żona pójdzie na od- pust do Węgrowa.

— A czemu to, kpie jeden, nie ofiarujesz się do Cze- stochowy albo nie zawiedziesz choćby ciołka swojemu proboszczowi? — zagrmiał groźnie ten sam głos.

— Daleko, Panie, i żniwa za pasem, pora też idzie skupować gąski młode po wsiach, bo teraz najtańsze. A ciołka dałbym z duszy serca, ale cóż, kiedym go już szlacheckiem słowem obiecał sprzedać sąsiadowi. Ale każesz. Panie, to na pierwszy spotkany kościół dam całą kopę jaj.

— Mało! — zahuczał jakby cały bór i piorun trza- szał tak blisko, aż Kiszka dziw, że się pod ziemię nie schował ze strachu.

— Dam już, Panie, całe dwie kopy, niech będzie moja krzywda.

Jaja teraz drogie, po trzy złote i groszy dziesięć kopa, ale dam, tylko się zmiłuj i nie tłucz mi wszyst- kich! — zakrzyczał.

— A jak dasz zbuki, to ci je o łeb rozbiję!

— Rzetelnie wybiorę, co najświeższe, nie cyganie! — wołał żarliwie, bijąc się w piersi. Jako słowa do- trzyma.

Burza przeszła, wyjaśniło się w mig, wiatr ustał, zaświeciło słońce i cały bór rozdzwonił się płasienią świergotami.

Szlachcic przetaił oczy, konia zaciął i pojechał da- lej, rozważając wszystko, co go spotkało.

— Drogom zapłacił. A możeby się było obyło!... — westchnął żałośnie, spozierając po czystem wypo- godzonym niebie.

— Muszę teraz dać całe dwie kopy! Kawał gro- sza! — drapał się frasośliwie po głowie i tak markot- ność go rozbierała, że chciało mu się zapłakać.

A tu jakby na dobitkę, skoro wyjechał z lasu pa- trzy, a gdzieś niedaleko i przy drodze biją w niebo ko- ścielne dzwony.

— Ha, trudno, słowo się rzekło, kobyłka u płotu. — nruknął.

Zajechał przed karczmę, gdyż stała na skraju wsi, koniowi dał obroku, a sam przyległ w cieniu i jał roz- wagać co robić.

Nie dać? Strach. Jakże! obiecałem samemu Je- zusowi. Dać? Żal go ścisnął. Tak źle i tak jeszcze go- rzej. Aż zasnął z tych ciężkich myślei, i przyśniła mu się jajecznicą z kiełbasą, że kiedy się obudził, rozśmiał się jakoś wesoło i przykazał karczmarce podać sobie wielką michę.

Poszedł z nią do wozu, wybrał co najmniejsze jaj- ka, każde przekłuł igłą, samo żółtko wypuścił do mi- ski, dziurkę zalepił woskiem, wydmuchane skorupy wrzucił pomiędzy jaja i kazał sobie usmażyć jajecznicę.

— Kościółowi krzywda się nie stanie i człowiek też będzie miał profit.

Przysapnął i zabrał się do jada; odpoczywał, stękał, pasa popuszczął, aż wyłożywszy sobie kałdun, jak jaki naczelnik, już śmiało potem zajechał przed plebanję. — Proboszcz był; właśnie siedział w ganku i palił fajkę na długim cybuchu.

Wysłuchał Kiszowskiego opowiadania i krzyknął na dziewczynę, aby podała przetak na jajka.

— A żeś pocziwy, to odprawię mszę na twoją intencję, — odpowiedział:

Szlachcic wyłożył ostrożnie puste jaja, ale dziewczka, która podstawiła przetak, zdziwiła się, że tak mało waży dwie kopy.

— Bo bez koguta — lgał w żywe oczy, księdzka pocałował w mankiety i śpiesznie wykrecał na drogę; ale nim zdążył uciec, ksiądz puścił się za nim w dyrdy, cisnął mu na łeb przetak ze skorupami i zaczął go okładać cybuchem gdzie tylko popadło.

— Ty hychu, ty psu bracie, to będziesz Pana Boga okpiwał i kościół okradał? — krzyczał i tak go smolił, że Kiszka puścił lejce i w nogi. Koń się spłoszył, wóz rymnął do rowu i wszystkie jaja poszły na psią jajecznice.

Skąpy zawsze dwa razy traci.

Żyd się w szkło zamienił.

Za dawnych czasów mieszkał w Kępnie żyd Berek, którego zwano pejsatym dlatego, że miał bardzo długie i gęste pejsy. Otóż ten Berek pojechał do Lipska, na jarmark i wziął ze sobą 600 dukatów czystym złotem. Miał on woźnicę Walka, który za dwanaście lat zasług nie brał, a nawet i spadek, jaki odebrał po wuju, oddał na procent Berkowi. Zawsze to nasi byli i są tacy nieoświeceni, że żydom pieniądź dobrowolnie oddają, a ci się potem panoszą. Walek co rok się z Berkem rachował, który mu prowizję przypisywał, ale nigdy nie chciał oddać pieniędzy. Walek zmiarkował w końcu, że już pieniędzy nie odbierze i że całe życie będzie musiał służyć u żyda, jeżeli jakim szczęśliwym trafem swoich pieniędzy nie dostanie. Po dwunastu latach był mu Berek winien 600 dukatów. Myśli sobie Walek: teraz ma Berek właśnie tyle pieniędzy, ile winien, zatem trzeba szukać sposobu, aby je odebrać.

Gdy już kilkanaście mil ujechali, ujrzał Berek w dali żołnierzy w płaszczach. Nie byli to żołnierze tylko bydło, wychodzące w pole na paszę. Walek poznał zaraz, że to bydło, ale naumyślnie mówił, że to żołnierze.

— O laboga, — zawołał, — a toć oni nas zabiją i pieniądze wezmą, — zaczął lamentować.

Kupiec na to rzecze:

— Mój kochany Walosiu, weś ten trzos z dukatami do siebie, a jak oni przyjdą i zapytają, co wiesz, wtedy powiedz, że szkło wiesz, a mnie wsadź we worek i zawiąż, żeby mnie nie zabili.

Walek nie dał sobie tego dwa razy powiedzieć. Opasawszy tedy trzos z czerwienicami na biodra, wsadził żyda we worek i mocno zawiązał, a podjechawszy dalej, zawołał grubym, zmienionym głosem:

— Stój, skąd jedziesz i co wiesz?

— Z Kępna, — odrzekł swym zwyczajnym głosem. — i jadę ze szkłem, moi wielmożni panowie.

— A gdzie je masz, chamie!

— Oto tu we worze.

Zatem znowu głos odmienna i woła, że trzeba szkło potłuc, a on poczyną swym głosem prosić, żeby mu tej krzywdy nie czynili, nic to jednak nie pomogło, bo żołnierze krzyczeli, aby potłuc, jakoż wziął Walek grubym końcem biczysko, ściągnął kilka razy żyda w wor-

ku przyczajonego, a ten udaje, że niby się szkło tłucze i woła: brdyń, brdyń, brdyń, brdyń!

Parobek prosi, żeby szkła nie tłukli, bo musi za nie zapłacić, a sam wór przewraca i praży żyda, a ten wciąż piszczy: brdyń, brdyń, brdyń, brdyń!

Żołnierze, mówią:

— A jaki też to szkło czysty głos wydaje!

Potem krzyknął:

— Pewnie ty chłopie masz pieniądze?

— Nie moi panowie, nic nie mam, bo jestem pacholek i służę u żyda Berka Pejsatego, co mi winien 600 dukatów, ale nie mam nic ze sobą.

— Zrewidować go. — krzyknęli, a niedługo znaleźli się trzos u Walka.

— Sypnąć mu takie baty, że mu się ojciec i matka przypominni.

Słowa te udawał Walek oczywiście. Słyszając żyd to wszystko, ledwie dyszy, choć w duchu się cieszy, że Walek za niego baty odbierze. Biję potem Walek kłonicą w ziemię, a prosi się i krzyczy grubym głosem, żeby się nad nim zmiłowali, a tu wciąż kłonicą wali. Na koniec dali mu pokój i odeszli z pieniędzmi. Walek, jęcząc przeraźliwie i chwytając się za zbolące niby miejsca, krzyczy:

— O wy szelmy, złodzieje, bodaj was pierwsza kula nie minęła, oj dali mi, dali!

Żyd miarkując, że już odjechali, woła, aby go odwiązać. Zbity Walek przyczółgach się na czworakach i z wielką niby biedą rozwiązał miech, z którego ledwie się wygramolił zbity Berek. Pan stęka i sługa jeszcze bardziej.

— A co Walku, wzięli nam pieniądze, — narzeka Berek.

— Oj wzięli, wzięli, złodzieje, a mnie zdrowie odebrali.

Kupiec kazał zawrócić do domu, bo pocóż jechać na jarmark bez pieniędzy.

W podróży obydwaj się spirytusem smarowali i chory i zdrowy, a w pewnej wsi tak się Walek rozchorował, że nie mógł jechać dalej, prosił więc kupca o uwolnienie go ze służby i wypłacenie mu zaległych zasług. Żyd wymawiając się, że pieniędzy nie ma, kazał Walkowi złodziei ścigać, odebrać im skradzione przez nich 600 dukatów i obrócić zakowe na pokrycie swej pretensji. Wreszcie zgodził innego parobka i odjechał do Kępna, kontent, że przynajmniej życie uratował.

Po odejście żyda Walek wstał z łóżka i wkrótce kupił sobie ładne gospodarstwo. W taki więc sposób przyszedł Walek do swoich pieniędzy.

Przebiegły młynarz.

Pewny pan, dziwnego humoru, objawszyszy nowo zakupione dobra, dowiedział się, że owczarz jego bawił się wróżeniem. Przyzwał go więc do siebie i zapytał:

— Prawdaż to jest owczarzu, że się bawisz wróżbami?

— Potwarz to przez złośliwych ludzi na mnie rzucana — odpowiedział owczarz.

— Jakośkolwiek bądź — mówił dalej pan — rozwiąż mi te cztery zagadki, to jest: 1) gdzie jest środek świata? 2) jakiej ja jestem ceny? 3) czemu bym rad był? i 4) co myślę? Jeżeli mi na te cztery pytania natychmiast dostatecznie nie odpowiesz, każę cię spławić w rzece.

— Ale, panie, to nie jest w mojej mocy, takowa wiadomość przechodzi obręb ludzkiego rozumu.

— Co mi tam do tego. To nie zwódź ludzi i nie

był się prorokiem, kiedyś nie wziął tego daru od Boga. Odpowiadaj natychmiast!

Biedny owczarz, widząc dziki humor i popędliwość pana szalonego, nie chciał dalej z nim się ucierać, lecz przynajmniej o czas namysłu do jutra prosił.

Gdy ze dworu powraca, spotyka się z młynarzem, który spostrzegłszy owczarza zakłopotanego, pyta się, co tego za przyczyna. Odpowiada mu owczarz rzecz całą. Na to rzecze młynarz:

— Nie kłopotcie się, kumie, już ja to biorę na siebie. Czy zna was dziedzic?

— Pierwszy raz jam go widział i on mnie, i to jeszcze tylko zmrokiem.

— No, to tem lepiej. Bądźcie dobrej myśli, jutro do was przyjdę raniutchno, ubiorę się w wasze rzeczy i za was pójdę do dworu. Jeszcze mnie pan nie widział i bądźcie pewni, że ja go uspokoję.

Owczarz, znając z gruntu obrotną i przebiegłą na wszystkie sztuki głowę młynarza, przystał z chęcią na projekt i nazajutrz raniuteczko przestroił młynarza w swoje suknie. Ten idzie do dworu i donosi panu, iż przyszedł z odpowiedzią na zagadki. Ciekawy pan pyta go:

— Gdzie jest środek świata?

— Zaraz, panie, nie tylko powiem, gdzie jest, ale go nawet i wytknę, proszę ze mną, kiedy łaska, w pole!

Gdy wyszli za wieś, wyciąga młynarz z płota żerdź, znaczy ją kredą na pewne miary, celuje to po niebie, to po ziemi, na ostatek, zatknawszy w ziemi, rzekł:

— Oto tu właśnie, panie, jak ta żerdź stoi, jest sam środek świata!

— Skądże ci ta wiadomość?

— Ha! Dzisiejszej nocy doczytałem się w księgach.

— Ale przekonaj mnie, że tu jest środek świata!

— Na moje słowo owczarskie, niech się Pan spuści. Wolno panu wszystkich rachmistrzów i mierników z całego świata sprowadzić, a jeżeli chybił, to wolno będzie czynić ze mną, co się podoba.

— No! Niechaj to już tak będzie. Pójdźmy do drugiej zagadki: Wiele też mnie cenisz?

— Co do tego, niech to będzie bez urazy pańskiej, co powiem. Pan Jezus, król nieba i ziemi oceniony był i sprzedany za 30 srebrników; tak rozumiem, że gdybym ja pana oszacował na 29 srebrników, toby nie miał pan przyczyny na złą takse narzekać!

— No prawda, dobrze mówisz. Ale co mi na to powiesz: Czemu bym rad był?

— Oto pan radby mnie pochwycić, żebym na którekolwiek zapytanie nie umiał czego odpowiedzieć, nieprawdaż?

— Zgadłeś poniekąd, ale zgadnijże czwartą zagadkę: Co ja myślę?

— Pan myśli, że ja jestem owczarzem?

— Tak jest.

— A to baśka, ponieważ ja jestem młynarz i wierny pański poddany.

Zadziwił się nad tym fortem pan, zrozumiałszy rzecz całą, był odtąd i na owczarza i na młynarza łaskawy.

Ucieszna przygoda, jaka się dawnymi czasy szterem ludziom w lesie przytrafiła.

Już temu parę set lat, albo i więcej, jak szło raz przez wielki bór czterech ludzi. A dziwni to byli zaprawdę ludzie.

Jeden z nich był kulawy, tak, że ledwie noga za

noga postępował. Drugi nieborak był ślepym, a trzeci znowu nic nie słyszał. A nakoniec czwarty, Panie Boże odpuść, był nagim jak pasternak. Takimi tedy byli ci wędrowni ludzie.

Jeszcze to nic, że tacy byli ułomni, boć jakimi nas Bóg stworzył, takimi jesteśmy, a jeżeli kto się przez złe życie jakiego kalectwa nabawi, niech to przyjmie za karę Bożą i niech się poprawi. Ale z tymi ludźmi to było wcale co innego.

Oto ten kulawy powiadał do każdego, że on nie jest chromym, tylko tak mu się coś w nogę zrobiło, ale to wnet przemienie. Zaś ślepy udawał, że widzi, dobrze, a głuchy, że słyszy, choćby się co o pół mili ruszyło, a co z nagim, to już była rzecz najśmieszniejsza, bo mówił do każdego, jakie on to ma piękne szaty na sobie.

Tak owi ludzie wypierali się widocznego kalectwa, jakim ich Bóg nawiedził. Śmieszność to była, ale czyż i dziś nie dzieją się podobne rzeczy? Znam ja takich ludzi, co podobnie, jak ci ludzie, na ciele, tak oni na duszy są kalekami, a udają, że są dobrymi, cnotliwymi ludźmi. Niejeden, co z chłopskiego pochodzi stanu, udając, że jest pańskiego rodu, jakby to rolnik, który nas żywi, gorszym był od szlachcica. Tak, tak, nie wstydzicie się nigdy, mili czytelnicy, waszego pochodzenia.

Ale wracam do owych wędrownych ludzi, czy też żebraków, bo nie wiem, czem oni byli. Idą tedy sobie, a gdybyś słuchał, co oni mówili, tobyś musiał pękać ze śmiechu. Zmówiło się o rozbójnikach, którzy podobno w tych laskach rabowali ludzi. Przestraszyli się wielce ci podróżni.

Nagle staje ów głuchy, który udawał, że dobrze słyszy, i mówi:

— Cicho bracia, bo mi się zdaje, jakby się tam coś ruszało: ot, ot słyszę wyraźnie jakiś łoskot, są to pewnością rozbójniki, oj będziecie to bieda.

Nie chciał i ślepy milczeć, aby więc pokazać, że dobrze widzi, tak powiedział:

— Ady mi coś w tej chwili mignęło przed oczyma, a nie było to nic innego, jeno rozbójniki.

Chciał się też nagi poszczycić swemi szatami, rzecze tedy:

— Oj Boże, Boże, gdy oni gotowi nas obrabować i ze szat obedrzeć, oj będzie to bieda (a nie miał nic na sobie).

Aż też kulawy nie wiele myślący, jak nie krzyknie z całej siły: „uciekamy!“, jak nie da drapka do lasu, to się jeno za nim kurzyło. Towarzysze jego widząc to, dalejże w nogi, mój drogi, i tak w krótkim czasie rozbiegli się na wszystkie strony.

Ale co się stało? Kulawy ledwie zrobił kilka kroków, tak bęc o ziemię, jak długi; ślepy w całym pędzie uciekając, uderzył głową o drzewo, tak, że mu się w oczach nihy w siedmiu kościołach zaświeciło (wtedy widział) i o mało nie rozbił sobie głowy; nagus obdarł, odrapał się między krzakami, że wyglądał jak nieistworzenie Boże, a głuchy, zapędziwszy się daleko, nadaremnie wrzeszczał z całego gardła, bo choćby mu kto odpowiedział, to nic nie słyszał, gdyż był głuchym.

Po jakimś czasie zgromadzili się na nowo, aleć co wyżyli przez ten czas i jak się wystraszyli, to ani tego wypowiedzieć nie można. Lecz nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło, to i ta przygoda tak ich nauczyla rozumu, że już się nikt nie tał swoim kalectwem. I szli sobie w zgodzie, aż miło, a jeden drugiemu, jak mógł, dopomagał, a nie już im się złego nie przytrafiło. Ale tej przygody nie zapomnieli przez całe życie.